



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Jak państwu wiadomo, zapowiadany koniec świata odłożony został na inny dzień i pocziwy Nostradamus skompromitował się swą przepowiednią gorzej, niż najpospolitsza kabalarka.

Święty Marek, nietylko w pierwszy dzień Wielkiejnocy nieszczęścia żadnego nie przyniósł, ale wypogodził niebo i ziemię tak odświeżnie, że aż rozkosz była chodzić po świecie i wymyślać niepowołanym prorokom.

Ludzie zajmujący się kontrolą kalendarza zapewniali z góry, że owo fatalne według Nostradamusa zejście się dat Wielkanocy ze świętym Markiem, nie przyniesie nic złego, bo od czasu wróżby zdarzało się niejednokrotnie i nie raz jeszcze się zdarzy, a świat będzie istniał dalej, i chyba go do góry nogami przewrócimy my sami, w chwilach bardzo złego, albo bardzo dobrego humoru.

Ale ci, co się chronologią nie mają czasu zajmować, jak moja kucharka i stróż kamieniczny, ci biedni, narażeni byli na okropne emocje z soboty na niedzielę; stróż zwłaszcza przysięgał się, że oka nie zmrużył przez całą noc, chociaż go okrutnie sen morzył, jakby na złość, i że wyraźnie słyszał głos po całej kamienicy: „Czy spisz?...“ Kucharka nic nie słyszała, bo głowę, dla bezpieczeństwa większego, trzymała pod poduszką, ale gdyby nie to, byłaby z samego strachu skonała, usłyszawszy takie tajemnicze wołanie.

Bajdy o końcu świata, drukowane w popularnych książeczkach, sprzedawane na straganach, pod kościołami, w kramikach—narobiły najwięcej popłochu; nieoświecone umysły łatwiej i chętniej

nie wierzą nieprawdopodobieństwom i fałszom, aniżeli najzdrowszym argumentom rozumu i logiki.

Trudniej było ludziom wytłómaczyć, że ziemia naokoło słońca się obraca, aniżeli, że słońce w złotym rydwanie, zaprzężonym czterema rumakami, jeździ po niebie i z bicia trzaska.

Ja sam, choć mam pretensją do odrobiny oświecenia, wierzę często bardziej niepodobieństwom, niż faktom—w polityce, ekonomii, nawet w... miłości.

Prawda, że miłość bywa niekiedy polityką, ale polityka nigdy nie była i nie będzie miłością.

Wszystko to wszelako nie ma najmniejszego związku z zapowiadany koniec świata; wróćmy do niego.

Gdyby nie przezorne oddziaływanie na opinię publiczną, kto wie, czy nie byłibyśmy się doczekali jakiejś małej katastrofy podczas świąt; jeden fałszywy alarm, prosty przypadek mógł być zakłócić spokojność publiczną niespodziewanie, nawet bez czyjejs wyraźnej winy; ale każdy za siebie pilnował się, jak mógł i pilnował innych: dlatego, pomimo tłoku nabożnych w kościołach, obyło się bez wypadku, na Ujazdowskim bez awantury, na ulicach bez zajścia.

Kiedy czytałem w dziennikach wiadomości o rozruchach między ludem galicyjskim, zaniepokojonym przeróżnymi bajkami, mimowoli wyrwał mi się z ust okrzyk: „Koniec świata!...“ Ten Nostradamus i wszyscy jego agenci powinni w piekle gorzeć po same łopatki; na szczęście pokazało się, że więcej strachu, niż niebezpieczeństwa rzeczywistego, było w owych symptomatach, rozdmuchanych przez dziennikarskie mieszki dla sensacyi.

Jednak nauka nie powinna pójść w las; należałoby czuwać nad tem, aby nieoświecone umysły nie karmiły się bajkami, ostrożniej puszczać w świat pewne wiadomości i wiadomości, a dbać

o moralne zdrowie prostaczków, które w braku innych domowemi środkami podtrzymywać trzeba.

Tyle wyczytałem o zamierzonych prelekcjach dla rzemieślników, że nowa wiadomość o nich podana przez dzienniki nasze wydarła mi z piersi westchnienie. *Pia desideria*, taksamo, jak marzenie o rzemieślniczej resursie, którą ktoś już chciał zakładać, ale pod warunkiem dożywotniego tytułu i urzędu prezesa i jeszcze tam czegoś w dodatku.

Co to za nieszczęście, że się u nas nic bez jednego choćby *ale* nie obejdział... Nawet odczyty prof. Tarnowskiego, którym zawsze z góry można było przepowiedzieć świetne powodzenie, — w tym roku miały fatalność swoją. Najlepszy retor między prelegentami stanął wprawdzie na katedrze, ale... z bólem gardła, z chroniczną chrypką, która mu głos psuła i nie pozwoliła dokończyć mówienia; a wiadomo przecie, czym jest żywe słowo w ustach prof. Tarnowskiego, ile ono nabiera barwy przez tę dykcją tak wyrobioną i świetnie modulowaną, przez te akcenta tak zręcznie i umiejętnie kładzione, na jakimś choćby niepozornem słówku, które potem za całe zdanie w pamięci słuchacza starczy.

Prelekcji p. Tarnowskiego trzeba koniecznie słyszeć; nie dość je czytać, bo one razem z autorem stanowią jakby organiczną całość, a przez ten inteligentny kunszt ich wygłaszania,—że powiem, cieniowania i koloryzowania pewnych myśli, głosem żywym, nabierają podwójnej wartości.

W trzechsetną rocznicę śmierci Stefana Batoro, która w Grudniu tego roku przypadnie, prof. Tarnowski na gościniec Warszawie przywiózł odczyty o „literaturze polskiej“ z epoki panowania tego króla; nadał im też cechę okolicznościową, pamiątkową, jakby uroczystą; było w nich coś z kursu literatury i coś ze wspomnień historycznych epoki, która świeci niby pogodnie, słoneczne dni w dziejach naszych.

Obraz nie mógł być zupełnym, nie mógł stanowić całej kompozycji sam w sobie; z konieczności musiał być fragmentem tylko, skoro go krytyk do miary historyka przykroził i do jedenastu lat panowania „jedynego króla“ ograniczył. Kłopot był z figurami w tym obrazie; jedne stały nogami w epoce Zygmunta Augusta, drugie głową sięgały w epokę Wazów; zaledwie torsy ich zmieścić się mogły w ramach tego okresu, który prelegent wyłącznie szkicował.

Trudno: chodziło o Batorego i jego lata, o jemu współczesnych, jego najbliższych; trzeba było z wielu rzeczy, wielu wymogów zrobić ofiarę dla pamięci samego króla; jednak słyszeliśmy o najcenniejszych mężach pióra i talentu tej epoki, żyjących już lub jeszcze pod berłem Stefana, o Kochanowskim, Klonowiczu, Szymonowiczu, Heidensteinie, Skardze i innych.

Możnaby zrobić zarzut prelegentowi za to przykrawanie literatury do chronologii historycznej, gdyby się z góry nie był zastrzegł od zarzutu, spowiadając z właściwej intencji mównicą *ex re* rocznicy Batorego o tem, co jego samego przypominać może.

A zresztą dziesięciolecie to przed r. 1586 stanowi rozkwit prawdziwy ducha i przedstawicieli szkoły humanistycznej u nas; to jej zenit, u którego poezja polska w XVI-ym wieku staje i od którego mogłaby iść dalej i wyżej, nie zniżając lotu, gdyby po Kochanowskim był ktoś, coby ją tak prowadzić potrafił, ale tego przewodnika niema i u geniuszów obstałować go nie można, a same losy go nie zsyłają na polską ziemię. Jeżeli zatem nie o całym dniu pogodnym historii i literatury naszej w XVI-ym stuleciu to przynajmniej o samym południu tego dnia słyszeliśmy z katedry, dzięki prof. Tarnowskiemu w Warszawie.

Towarzystwo Osad Rolnych i miłosierne „Macierzyństwo“ zyskało zasilek dość znaczny, a jednemu i drugiemu potrzeba grosza na utrzymanie pożytecznych instytucji, które, dobrodziejstwa świadcząc, same z cudzej łaski żyć muszą.

Czwarty rok podziwiam energią i poświęcenie dzisiejszego prezesa zarządu Osad Rolnych, pana Machczyńskiego, który interesa Studzieńca prowadzi z gorliwością godną największego uznania. Widywałem tylko jego trudy około urządzania odczytów i wyznam otwarcie, że wolałbym sam dwanaście prelekcji napisać, niż je organizować i kłopotać się o każdego prelegenta z osobna.

A czy to tylko jednych prelegentów ma się na głowie!...

Raz do roku publiczność dowiaduje się o działalności instytucji na ogólnym zebraniu, które pozostawiało dotychczas przyjemne wrażenie majówki studzieńskiej, ale nie zastanawia się nad tem, iż na ten jeden miły dzień zarząd, ze swym przewodnikiem na czele, pracować musi trzysta sześćdziesiąt pięć dni i dla zyskania krótkiej pochwały i wyrazu uznania, trudem, zaparciem się, pracą, poświęceniem przez cały rok zarabiać.

Uczestnikom dorocznych wycieczek do Studzieńca muszę obwieścić przykrą nowinę. Skończyły się z ustąpieniem p. Felixa Sobańskiego ze stanowiska prezesa towarzystwa studzieńskie majówki; odbywać się będą na miejscu, z tej prostej przyczyny, że instytucja swoim kosztem, wcale znacznym, nie może podejmować przybyłych gości. Dawny prezes, jako najbliższy sąsiad Studzieńca, na swoim niejako gruncie, mógł robić honory domu i „nowalijkami“ raczyć członków, zwiedzających osadę. Przyjęcia takie kosztowały zwykle kilkaset rubli, które pan Sobański z całą hojnością z własnej kieszeni łożył. Nie można od nikogo, a zwłaszcza od instytucji, zmuszonej do liczenia się z każdym groszem, żądać takiej gościnności i ofiary; pozostaniemy tedy w Warszawie i pojedziemy na zgromadzenie po własnym obiadku, bez kurczęt i szparagów, wysłuchać sprawozdania rocznego i przyklasnąć Zarządowi za wzorowe prowadzenie instytucji.

Może też usłyszymy nareszcie przy sposobności cośkolwiek o losach legatu s. p. Kickiego, odłączanego zupełnie od interesów Towa-

rzystwa Osad Rolnych i stanowiącego osobną instytucją w instytucji, która mianuje się tylko *de nomine* jego właścicielką.

Towarzystwo znajduje się obecnie w posiadaniu całego zapisu szlacheckiego filantropa; ma niby olbrzymi majątek, a jednego korca kartofli dla Studzieńca z niego nie dostaje; doniedawna płacić musiało administracji dóbr komorne za lokal zajmowany w swoim, niby własnym, domu przy ulicy Królewskiej.

Ludzie nie chcą wierzyć, że można być milionowym panem, a chodzić bez butów.

Miałem w tych czasach bardzo nieprzyjemny sen; śniło mi się, że byłem młodym Rotszyldem i na drugi dzień po ślubie z panną Mackay, córką największego milionera Stanów Zjednoczonych. Niestety chciało, że posiadając wszystko złoto, miałem i „złote serce.“ a przez to serce zbiedniałem w ciągu jednej nocy tak, że obudziwszy się, chciałem już posłać chłopca z kartką po zaliczkę do którejkolwiek redakcji. Wszystkie moje miliony bowiem rozdałem we śnie na cele publiczne, filantropijne i dobroczynne. Jakżeż było nie oddać ostatniego grosza, na takie Hiobowe wieści, jakie od pewnego czasu nadchodzą bezustannie z Galicji!.. Całe miasta płoną tam, niby wiązka siana. Spłonął Stryj do szczytu i kilka tysięcy mieszkańców pozostało bez dachu, bez chleba, bez mienia; około sześciu milionów guldenów straty wyrządził pożar, obracając w perzynę z krańca w kraniec stolicę powiatową.

Głos współczucia odezwał się ze wszech stron; w Wiedniu, w Paryżu, w Londynie potworzyły się komitety, posypały składki; jedna ofiara zaniego filantropa znać Sekwany wynosi 100,000 franków.

Lwowskie koło literackie wyda niebawem jednodniówkę na korzyść pogorzalców Stryja. Wszystko to tylko w małej części powetuje szkody nieopłacone. Miasto trzeba odbudować, oczyścić z gruzów, pościagać rozproszonych i wypłoszonych mieszkańców, a ile lat minie, zanim na zgłiszczach nowy Stryj powstanie podobny do spalonego!..

Jednej straty wszelako nic nie powetuje i nie wynagrodzi: oto ofiary kilkudziesięciu nieszczęśliwych, których los skazał na całopalenie żywcem podczas pożaru, a których zwęglone ciała dotąd jeszcze wygrzebują z pod popiołu i zgłiszczy.

Un malheur ne vient jamais tout seul; pożar Stryja rozpoczął jakby cały szereg innych pożarów, spaliło się bowiem drugie miasteczko, Lisko i kilka innych. Tu i owdzie mówiono o podpaleniu, co jeszcze pogarsza nieszczęśliwy fakt, bo do kłęski materyjalnej dorzuca boleść, jaką sprawia wrażenie moralnej zgnilizny i znieprawienia.

Chciałbym czem weselszem zakończyć tę pierwszą majową pogawędkę, ale i ten Maj nie wesoly; zima, jak gdyby jej się żal zrobiło, że odejść od nas musiała powróciła znów i dmucha takim chłodem, że przez grube paletoty daje się ludziom weznaki. Meteorologiczna wróżka przepowiada nawet—o zgrozo!—śniegi, jako niespodziankę nadzwyczajną.

Wśród takiej aury nie chce się nawet myśleć o willegiaturze, wyjeździe do kąpiel, do wód; póki się na dobre nie ociepli, nikt chyba planów letniej wycieczki układać nie zacznie.

Gazeta polska bardzo rozsądnie i przezornie radzi, aby unikać w tym roku niemieckich „badów“, wobec zawziętej polako-fobii ks. Bismarcka i polityki wydalania. Ni ztąd, ni zowąd można się z niedopitą szklanką wody mineralnej znaleźć w wagonie, w towarzystwie pruskiego żandarma, wywożonym ku granicy.

Ostrożność sama każe nie narażać zdrowia, spokoju, pieniędzy i nerwów na takie ewentualności; przecież są na świecie poza niemieckimi zdrojowiskami i kąpielami inne źródła lecznicze, nawet bliższe, nawet tańsze, a w tych czasach bezpieczniejsze dla polskich kuracuszów.

Panowie lekarze powinni przy konsultacjach swoich pamiętać o tem i dla pacjentów Polaków wybierać oile możliwości miejsca pewniejsze od „badów“ i „curortów“ niemieckich.

Mojem zdaniem wszelako, najbezpieczniej będzie w tym roku siedzieć w domu, trzymać się ciepło, co potrzeba, kupić sobie i czekać lepszych czasów.

— Dlaczego?—zapytacie ciekawie. Odpowiem na to słowami ulubionymi jednego z moich tajemniczych przyjaciół:

— Nie można wiedzieć, co będzie!...

Quis.

MODLITWA MATKI.

Modlitwo matki! gdzie będziesz ty,
Gdy w duszy dziecka zwątpienia mgły
Roztoczą mroki i cienia?
Gdzie będziesz wtedy, gdy życie brudem
Splami jej kwiatek chowany z trudem,
Gdy go pochyla cierpienia?
Modlitwo matki! ty w nocnej ciszy
Płyniesz ku niebu—a ziemia słyszy
Jęk, który rozpacz wyrwa...
Ona się modli, kornie schylona,
A może syn jej gdzieś w dali kona,
Albo szatany przyzywa...
Powiedz, czy siła twoja podola
Jasnego dziecku zdobyć anioła,
By go wiódł wyżej... ku Bogu?
I gdzie ustaje twoja potęga,
Jak się zwie ciemność, w którą nie sięga?
Na jakim chwiejesz się progu?...
Najmniejszy atom w świecie nie ginie—
Każde pragnienie w ducha krainie
Zaznacza swoje istnienie;
A umysł dziecka światłość przenika,
Gdy matką jego mężna Monika,
Gdy jej nie złamie zwątpienie.

Kruczyn.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Drobne okoliczności przyczyniły się do nieustannych nieporozumień. Pałac Kazanowski, najwspanialszy gmach w Warszawie, z którym ani zamek królewski, ani pałac króla na Krakowskim-Przedmieściu równać się nie mógł—pełen był nieocenionych skarbów, przez długie nagromadzonych lata.

Począwszy od kosztownego oręża, broni, zbroi, od sreber, klejnotów, aż do obrazów i posągów, wszystko tu ze zbytkiem niesłychanym było urządzone. Piwnice, skarbcze, spichlerze, stajnie przepelnione, zdumiewały naówczas cudzoziemców. Radziejowski, opanowawszy te dostalki, chciał rozporządzać niemi, żona się temu łagodnie w początku opierała, na co on zważać nie myślał.

Oprócz tego pani Elżbieta nawykła była przyjmować kogo chciała, otaczać się osobami, które jej były miłe, i dom jej był jednym z najgościnniejszych w Warszawie.

Radziejowski zapragnął poddać to swej kontroli i rozporządzeniu, słowem: chciał tu być panem i nie odnosząc się do żony, nią i jej mieniem rozporządzać.

Nie mogła tego znieść podkanclerzyna; oparła się stanowczo.

Drobne te jednak utarczki małżeńskie z początku nikomu nie były wiadome i za mury pałacu nie wychodziły.

Radziejowska, może podrażniona tylko, dała się tego domysleć królowi, a podkanclerzy poskarżył się poufnie samej Maryi Ludwice, która nie lubiła jego żony. Pomiędzy aktorami tego dramatu cichego, jeszcze niepostrzeżonymi, znalazł się i pokojowiec króla wmieszany... którego Jan Kazimierz zaczynał coraz więcej do poufałości przypuszczać.

Był nim, znacznej i możnej rodziny, jak wiele innej młodzieży, rozpoczynający na dworze służbę, Tyzenhaus, należący do tak zwanych pokojowców króla, wistocie dworzanin jego. Z natury temperamentu żywego, gorącego, panicz, nawykły do bardzo śmiałego obchodzenia się z ludźmi, młody Tyzenhaus przy Janie Kazimierzu, który dworzan swych i komorników wcale surowo nie trzymał, nabrał jeszcze buty i śmiałości. Król go lubił, słuchał chętnie, dawał mu sobie prawie nietylko, co gdzie słyszał, ale, co o ludziach trzymał i jak ich sądził.

Butlera starego przyjaciela, nie zawsze miał król przy sobie. Strzeżosz dla małych stosunków mało mu mógł posłużyć. Tyzenhaus, który wszędzie bywał, a spokrewniony był w Litwie szczególnie z pierwszymi domami, donosił, do wcześnie to ubierając, królowi, co mu się po świecie widzieć i słyszeć trafiło. Bystrego oka, młody pokojowiec często odgadywał szczęśliwie i bawił tem zdruzzonego Jana Kazimierza.

Ze Służkami Tyzenhaus miał czy powinowactwo jakieś, czy dawne stosunki, dosyć, że u podkanclerzyny, czasu jej wdowieństwa, a potem i po weselu często bywał i ona go lubiła. Radziejowski od początku znieść go nie mógł, widywał u siebie niechętnie, ale cierpieć musiał.

Parę razy napomknął żonie, ażeby zbytnio tego młokosa nie przyswajała, ale ona nie widziała przyczyny, dla czego by przyjazne swe usposobienie zmienić miała.

— Nie mam najmniejszego powodu zamykać mu drzwi, ani się okazywać inną, niż byłam — odpowiedziała.

I na tem się skończyło na razie. Tyzenhaus, wcale sobie Radziejowskiego nie ważąc tak dalece, postaręmu dworował przy jejmości.

W stosunkach tych temperamenta i stanowiska a położenie osób ważnymi były czynnikami; Tyzenhaus miał za sobą króla i protekcji jego był pewnym; to go osmielało. Radziejowski rachował na królową najwięcej, bo słabość Jana Kazimierza znał i przewagę, jaką żona nad nim miała. Podkanclerzyna nie chciała się dać zawojować odrazu mężowi, aby nie być niewolnicą, gdy wniosła mu tyle, iż on jej więcej, niż ona jemu zawdzięczała. Król protegował wdowę po Kazanowskim, nietylko może dla jej piękności, jak dla uprzejmości, którą mu zawsze okazywała. Jest w naturze człowieka, iż się przywiązuje do tych, którym mogło się coś dobrego uczynić. Podkanclerzyna testament męża i swe wyposażenie winną była królowi i z pewnością Jana Kazimierza to więcej obowiązywało dla niej, niż ją dla niego.

Każdego małżeństwa owe miodowe miesiące są walką o niepodległość i o panowanie; u młodych człaczka je miłość lub namiętność zmysłowa; u podżyłych, żeniących się powtórnie, lub jak podkanclerzy, po trzeci raz, u wdowy po Kazanowskim, szło zaraz w początkach o zaznaczenie przszłego stanowiska.

Podkanclerzy był nazbyt zuchwałym, przebiegłym, chciwym, ażeby się chciał poddać kobiecie, której w oczach ludzi i tak już bardzo był winien wiele: próbował więc odrazu przybrać rozkazujący ton pana domu — i małżonka kierującego wszystkim. Wdowa nie była przywykła do ucisku ze strony nieboszczyka Adama, czuła się też zbyt silną stosunkami, bogactwami, wnioskiem swym, aby ulegać kaprysom i zachciankom małżonka. Ona także w swoim domu chciała być panią. Nie przyszło do zatargów, ani do sporów w dniach pierwszych; Radziejowski był nadto ostrożnym, a ona nie sądziła, aby się targnąć wazył przeciw niej, gdy okaże mu swą wolę.

Oboje zarówno pewni byli zwycięstwa. Pod-

kanclerzy jednak, który bawił królową opowiadaniem o swych staraniach, o ożenieniu, o charakterze żony, której ona nie lubiła, szydersko zaczął wyrażać się o niej — i lekkomyślnie insynuował, że wiele liczyła na króla protekcją i poparcie.

Marya Ludwika nie była pewnie zazdrosną o miłości pokatne męża, o których jej także donoszono, gromiła go tylko, gdy one go śmiesznym czyniły, ale jawne nadskakiwania damom dworu oburzały ją.

Posadzała niesłusznie panią Kazanowską, potem podkanclerzynie, że króla zalotnością ku sobie pociąga. Pani Elżbieta była z natury swej niewinnie zalotną, starała się podobać wszystkim, była oprócz tego pieszczoską potrzebującą hołdów i dworu. Przyjaźń króla jej pochlebiała. Tyzenhaus ją bawił, tak samo inna młodzież wielce była przyjmowana przez nią, bo ją rozrywała.

Ten tryb życia niezależny, swobodny, którego wdowa zmienić nie myślała, nie podobał się Radziejowskiemu, który, jak wszyscy egoiści, był despotą. Opanować ją, zamknąć, kierować, gdyby nie wypływało z jego rachub, wypływałoby z charakteru. Nie był to człowiek, co by się zrażał pierwszymi przegranymi potyczkami, upór bezwstydnym należał do jego wad, czy przymiotów. Z początku więc puścił mimo co go drażniło.

W pierwszych miesiącach po mianowaniu podkanclerzym, gdy nowo naznaczony w podeszłym wieku kanclerz głośno zapowiedział, że w młodszy pracownikowi potrzebuje pomocnika, Radziejowski, rad temu, bardzo gorliwie się zajął kancelaryą i rozpoznawaniem swych przyszłych obowiązków. Całemi więc czasem dniami w domu nie bywał, powracał dopiero wieczorem. Ten trud urzędowy był w większej części pozornym tylko. Podkanclerzy bowiem więcej przesiadywał u królowej, którą pragnął sobie pozyskać, aby miał ją przeciw królowi (bo tego się ezuł niepewnym), i tam, gdzie wesoło ucztowano, albo frymarki jakieś omawiano i gotowano.

Dwór intryg był pełen, krzyżowały się one tu, snuły, i wszystkie ostatecznie, u królowej rozwiązywały.

„Zważyć potrzeba dworu obraz, powiada pisarz współczesny, wszystkie drzwi i podwoje opanowane, obleżone pokoje, wszyscy wiszą przy królu (i królowej, rozumie się) wlepiają w pana oczy, zmyślają fantazyje do pańskich się akkomodując, ze śmiejącym się weselą, z cholerycznym tetrykami się stają. Nie masz prawdy za szeląg, wszyscy patrzą na ręce, ubiegając się, aby ich przekupywano. Tu przysięga bez wiary, nie domacasz się prawdy, przyjaźni szczerzej nie uprosisz, chyba ją kupisz, rozumu i mądrości nikomu nie przyznają, chyba temu kto więcej zapłaci. Wystrzegaj się rozmowy z niemi i ofiarowanej uprzejmości; co mówisz, pilnuj się, aby oni ze słów twoich skrytych nie wyczerpali tajemnic.“

„Dwie tu sztuki, u starych Polaków niebywałe, siedzą na warcie: chytrność i zmysłona przyjaźń. Jeden z drugim ścisła się jedzą, piją, sakramentują się, a jeden pod drugim dółki kopie; nie miły mu ten stopień, na którym stoi! Chce mu się wyższego, zazdrości drugiemu wzrostu, wiek trawia w nadziei, jak woły jeden drugiego popychają. Szczęśliwych nienawidzą, nieszczęśliwymi gardzą, siedzą jak w prasie ściśnięci, z jednej strony wzgardą wyniosłych, z drugiej sobie równych zazdrością.“

Wykarmiony był temi praktykami dworskimi Radziejowski. Długo, długo nie udawało mu się nic więcej nad ożenienia, które przyniosły fortunę. Starostwo Łomżyńskie, tytuł krajczego królowej były dla niego zaledwie zadatkami, sięgał wyżej daleko. Ożenienie z bogatą Kazanowską, postawiło go dopiero na drodze do honorów.

Wiedział on bardzo dobrze, iż miała u króla łaski, rachował na to... lecz zarazem służył sam królowej, obiecując sobie ze stosunków własnych i żony ciągnąć korzyści.

Tyzenhaus nie przenikał go może tak bardzo, ale instynktowy czuł wstręt do niego, a wielkim

będąc wielbicielem podkanclerzyny widział w nim jej nieprzyjaciela.

Jednego dnia rano, jak bardzo często, Tyzenhaus się znalazł na pokojach podkanclerzyny, która, otoczona swemi ptaszkami i kwiatkami, bo jedno i drugie lubiła bardzo, w tej chwili była samą.

Jakim sposobem rozmowa tak niebezpieczna i poufała zwrot przybrała, iż podkanclerzyna westchnęła i poskarżyła się na despotyczne zachcianki męża? — może w tej chwili świeżo ją one zabolaly.

Tyzenhaus się odezwał z oburzeniem:

— Alboż pani podkanclerzyna nie jest u siebie w domu panią i nie rozporządza jak jej wola?

— Waćpan jesteś młody — odparła napół tęskno, pół żartobliwie pani Radziejowska — w innych krajach, naprzykład we Francyi, i obyczaj i prawo daje kobiecie pewną niezależność, u nas przysięga przed ołtarzem na posłuszeństwo nie jest czczem wyrażeniem. Prawo mnie, co jestem panią mojego majątku, nie dopuszcza nim rozporządzać bez zgody męża... on jest głową domu, on panem.

— Zapewne! — zawołał młodziak — tam, gdzie małżeństwo zawarte łączy osoby równej fortuny i godności... ale tu...

— I tu tak jest! Wyłamywać się zpod władzy męża! — rozśmiała się smutnie podkanclerzyna — u nas się nie godzi.

— Ale u siebie w domu, boś pani przecie u siebie...

— Tak jest — mówiła podkanclerzyna — jestem u siebie, ale drzwi-bym mu zamknąć nie mogła... a nawet nieczem własnem rozrządzić.

Biedne my jesteśmy niewolnice!

Oburzył się Tyzenhaus.

— Mało znam pana podkanclerzego — dodał — ale, mam go za zbyt dobrze wychowanego i szlachetnego człowieka, aby władzy takiej chciał... nietylko nadużyć, ale nawet jej używać.

Podkanclerzyna obejrzała się na niego, wlepiła oczy, i — nie odpowiedziała nic. Milczenie było wymowne.

— Często są takie bardzo drobne a niezmiernie przykre... okoliczności — poczęła pomilczawszy — które mogą zatruć życie.

Tyzenhaus słuchał ciekawie.

— Naprzykład ja — ciągnęła dalej pani — nawykłam tak do tego mojego domu, do urzędzenia jego, jakim było, że najmniejsza zmiana mnie razi. Hieronim ma passyą przerabiać, przemieniać, poprawiać wszystko, niezawsze szczęśliwie. To mi łzy wyciska... a on się z łez śmieje.

Otarła mężnie oczy.

— Jest to wielkiem zuchwałstwem z mej strony — odezwał się Tyzenhaus — gdy ja, młodziak, osmielę się pani radzić, ale mnie się zdaje, że nie potrzeba ustępować w najmniejszej rzeczy, pół kroku tylko... a potem już...

— Właśnie i ja to tak rozumiem — dodała podkanclerzyna. — Chodzi o nic nieznaczące fraszki; uparłam się przy nich.

— Nieznośna rzecz! — zamruczał Tyzenhaus — lecz cóż za niedelikatność!

Nastąpiło milczenie znowu, poczem młodziak dla rozrywki pani, jakąś wesołą opowiedział historyjkę o Francuzie ze dworu królowej; rozmowa przeniosła się na nią.

Podkanclerzyna skarżyła się, że u niej nie ma łaski...

Tyzenhaus dowodził, że to było naturalnym skutkiem zazdrości, gdyż król zawsze z wielką się wyrażał admiracją o podkanclerzynie.

— A! ten biedny król zawojowany! — rozśmiała się podkanclerzyna — nie dosyć, że mu Kozacy i Tatarowie prawa dyktują, w domu też musi słuchać.

— Czasem się on próbuje buntować — szepnął Tyzenhaus — ale mu się to nie udaje. Wistocie zaś powinien być wdzięczny N. Pani, bo ona go koniecznie bohaterem uczynić chce i dokaże tego. Jan Kazimierz, gdyby inaczej był wychowanym i nawykł od młodości do konia, do zbroi, niezawodnie by był dobrym wodzem. Duch się ten w nim budzi — ale nie trzeba zapominać, że i mniczem już był i coś mu zakonniczego zostało

— Czyżby znowu przyjsć miało do wojny? — zapytała podkanclerzyna.

— O! ja o tem nic nie wiem — rzekł młody dworak—lecz wnosząc z tych wiadomości, które od Zaporozia i z Rusi przychodzą, wiele na te traktaty z Tatarami i Chmielem liczyć nie można.

Królowa powtarza to, iż Rzeczpospolita potrzebuje wielkiego, głośnego, stanowczego zwycięstwa, któreby to chłopstwo trwogą przejęło. Tymczasem laury zbiera tylko wojewoda Jeremi, a one wszystkie pani nasza radaby włożyć na skronie męża.

Prześmiewano się potem trochę pocichu z panowania królowej, z uległości króla, i Tyzenhaus wyszedł, bo jakieś panie z Litwy oznajmiono.

Król, który o wycieczkach częstych do pałacu Kazanowskich Tyzenhausu był zawiadomiony, codziennie go prawie badał. Lubił plotki.

— A co? pewnie byłeś u podkanclerzyny?— i tego dnia—zagadnął o to Tyzenhausu.

— A jakże, N. Panie.

— Cóż tam? Opływają w szczęśliwościach — mówił Jan Kazimierz — ten podkanclerzy to się w czepku rodził. Taka kobieta! ale że też ona go sobie wybrać mogła?

— Hm—odezwał się młody dworak—kto wie, czy już tego nie żałuje.

Król aż przyskoczył do niego zjęty wielką ciekawością.

— Co? co?

Milczał z początku Tyzenhaus, ale w końcu natarczywemu naleganiu uległ.

— Podkanclerzy tyran — rzekł — chce się już tam rządzić na cudzych śmieciach jak szara gęś. Pani ma słusność, że pragnie swą wolę utrzymać; wszystko to jest jej.

— A pewnie! — zawołał król z zapalem.—On jej nie przyniósł nic ani na zawinięcie palca. To hołysz! ale dam ja mu tam despotę grać!

Pogroził palcem.

— N. Panie, najlepiej się w to nie mieszać; małżeństwo się poswarzy i pogodzi—szepnął Tyzenhaus.

— Trzeba jej było tego podkanclerzego!— podchwycił król.—Zgaga... pozbyć się go nie można. Utrapione z nim będzie życie miała. Perswadowałem, on jakiegoś inkułza czy czarowia zażył. Toć-to synowie z pierwszego małżeństwa dorastają, a to pani świeża jak różyczka.

Tyzenhaus się uśmiechnął.

Przerwano rozmowę. Przyszły właśnie wiadomości od kresów, że Chmiel, choć wierność swą poprzysięga, z Turkiem o poddanie mu całej Ukrainy się układa. Lecz w Warszawie naówczas nie zawsze i nie wszyscy w groźne znaczenie Kozactwa wierzyli; większa część lekceważyła je. Wszystko zamykało się w tym wyrazie: „chłopstwo“—jakgdyby on słabość, nie siłę, znał.

Zwano barbarzyńcami Zaporozców i stosunkowo miano słusność, lecz barbarzyństwo to dzieciny połączone było z instynktem, z przebiegłością, z chytrością, które tylko dzikim narodom służą. Walka z kozactwem podobną była do tych pojedynków między doskonałym szermierzem a silnym nieukiem, w którym walczący wedle wszelkich prawideł pobitym być musiał, bo go przeciw wszelkim regułom napastowano.

Wszystkie ruchy były niespodziankami—i odeprzeć je dla tego było trudno.

Wieczorem król musiał pójść do żony — która już po niezliczonych audyencyach odpoczywała.

Tu było tysiące zawsze rzeczy do roztrząsania. Jan Kazimierz, oprócz ustnej instrukcyi, odbierał czasem całe rejestra wakansów, które, tak a nie inaczej miał rozdawać.

Nie było prawie dnia, aby o jakiejś śmierci biskupa, kasztelana, wojewody nie przyszła wiadomość, a równocześnie z nią już przybiegało, co najmniej, trzech kompetytorów z ofiarami wprost do królowej.

Marya Ludwika nie czyniła wcale tajemnicy z tego, co jej obiecywano. Miała więc i w tym dniu wiele do przekazania mężowi. Dwie stolice biskupie wakowały, kilka starostw było nierozdanych.

Po przerywanych tych a czasem nieśmiałą oppozycją przyjmowanych instrukcyach, królowa zaczęła mówić o Radziwiłłach, o Lubomirskich, a od tych przeszła nagle do Kazanowskiej.

— Podkanclerzy — odezwała się — który sobie tyle z ożenienia obiecywał, lękam się, aby nie doznał zawodu... Kazanowska jest samowolna... chce wszystko zagarnąć pod siebie.

— Bo też do niej należy wszystko! — odparł król żywo.

— O! ty jej bronisz zawsze — kwaśno prze-rwała Marya Ludwika — pocóż szła za męż?

Król zmilczał ostrożnie.

— Lękam się — dodała królowa — aby między małżeństwem nie przyszło rychło do kłótni. Mogłbyś jako dawny opiekun pięknej Elżuni wy-perswadować jej, że mąż ma pewne prawa.

— Ale ja się w to mieszać nie chcę!—zawołał król kwaśno — ty ze swojej strony mogłabyś Radziejowskiego, który się pewnie skarżył, skłonić do tego, aby się z żoną, tyle jej będąc winnym, łagodnie obchodził!

— Alboż wiesz, że się obchodzi grubijańsko?— zapytała Marya Ludwika.

— Ja... ja nie a nic nie wiem — zaparł się król powstając — ale słyszę od ciebie...

To mówiąc król na dobranoc pocałował ją w rękę, a Marya Ludwika nabrała przekonania, że więcej wiedział, niż się przyznawał...

V.

Pogłoski o wojnie, a więcej jeszcze przybycie Xięzkiego, który wyleczywszy się z ran we Lwowie, do Warszawy zjechał po drodze i krewniaka do siebie powołał— wyrwały Strzębosza z tego dworskiego zleniwienia i próżniactwa, które mogło go zczasem uczynić do niczego niezdatnym.

Dyzma już sam zaczynał rozmyślać o tem, że go pokojowa służba, choćby u króla, do niczego nie doprowadzi, gdy dnia jednego pacholik Staszka Xięzkiego z gospody na Długiej ulicy przybiegł i dał mu znać, że wuj go do siebie prosi.

Xięzki należał do tych popularnych znakomitości wojskowych, o których i hetmanowie wiedzieli, że ich głos w pułkach waży i cały obóz sobie rozpowiadał a powtarzał ich słowa.

Mówiliśmy już o tych jowialistach, których do nas kilka tylko imion doszło; wszyscy oni swego czasu choć nie dobili się i nie dobijali wysokich w hierarchii szczeblów, pozostawili po sobie pamięć ludzi, których zdanie ważyło wiele, stanowiło niekiedy o opinii ogółu.

Żarcik lub sąd o człowieku takiego Skarszewskiego, Xięzkiego lub Samuela Łaszczu, mógł obalić lub podnieść wysoko nawet stojącego dygnitarza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROMANTYZM POLSKI

w pojęciu Brandesa.

Pomiędzy sławnym krytykiem literackim a nami i literaturą naszą zacisnęła się spójnia, jaką w roku przeszłym, podczas pierwszych jego odwiedzin w Warszawie, zaledwie przewidywać było można. Umysł energiczny, ciągłością i ustawiennością wrażeń obdarzony, raz zatrzymawszy się pośród nas, nie mógł już pozostać obojętnym na umysłowość naszą, na najdoskonalszy i najtrwalszy jej wyraz: literaturę. Nie znając języka polskiego, wziął Brandes bibliografią Kirchmanna, odczytał prelekcye Mickiewicza, otoczył się przekładami niemieckimi i francuzkimi dzieł przedniejszych, i choć nie poznał i nie zbadał poezyi naszej w całym jej ogromie i różnaitości, to jednak, wskutek niepospolitej zdolności wytwarzania i uogólniania pojęć, odczuł żywe jej techniczne i pochwylił charakter. Czego kilka lat temu nie umieli lub nie chcieli dojrzeć swoi, to dostrzegło oko tego cudzoziemca niezaropiałe doktrynerstwem, swobodnie w świat i jego zjawiska patrzące.

Charakterystyka romantyzmu polskiego, jako rośliny wyrosłej na gruncie życia powszechności, w danych warunkach dziejowych, w powietrzu i słońcu nieszczęścia, właśnie dlatego, że powstała w rozumie tak niepodieglą, trzeźwym, radykalnie usposobionym, podwójną musi mieć dla nas wartość: ujrzelśmy poezyą naszą z epoki wielkich natchnień, odbitą w zwierciadle umysłu cudzoziemca „pełnego dla nas życzliwości“—i poznaliśmy ją, że to ona. W szczegółach były niedokładności, w sądach i ich motywowaniu zбочenia, w określaniu pojedynczych sił błędy—ale przy tem wszystkim była i prawda w zrozumieniu ducha, a gdzie duch jest, tam i kształty właściwe znaleźć się zczasem będą musiały. Wszelka praca ustala cudowną jakąś wymianę pomiędzy ręką a dziełem: takiego tonu, w jakim teraz odezwał się rozum krytyczny Brandesa, nie przyniosły nam dotychczas *Główne prądy literatury w. XIX-go*, w pięciu wydanych już tomach. Człowiek, nietylko rośnie wraz z wyższymi celami swojemi, ale i rozszerza się od nowych prac swoich. Trud zużywa siły, ale i dodaje sił. Są organizacje tak szczęśliwe, że w nowych widnokreślach znajdują nowe w sobie żywioły działalności. Ogólne spostrzeżenia, myśli z księgi mądrości życia wyjęte, przez głębokość swoją dorównują tym, naprzykład, które znajdujemy w t. II *Prądków*, a przez piękność formy przez serdeczność człowieczego swego tentna—stają obok głośnego dzieła jako coś zupełnie nowego.

Rzecz o poezyi polskiej w wieku XIX poprzedził Brandes odczytami o nas w Kopenhadze podczas ubiegłej zimy wygłoszonemi. Było to niejako przygotowanie do wykładów warszawskich. Odczyty owe wzbudziły wielkie zajęcie wpośród Duńczyków. Dar słowa, talent wykładającego spoetęgowały znaczenie, jakie miał sam przedmiot. W charakterystyce społeczeństwa naszego, podanej przez *Kraj*, krytyk duński nie jest wcale entuzyastą; ma na to zbyt wiele doświadczenia, aby mógł wierzyć w doskonałość, zbyt wiele sumiennosci, aby mógł się unosić grzecznością. Moznaby się posprzeczać o niektóre rysy oblicza, ale niepodobna powiedzieć, żeby podobiznę malowała dłoń niezyczliwa. Wady malowidła są głównie winą niedostatecznego poznania, a to znowu winą—chyba nie Brandesa. W jakich kołach się obracał, z takich wnosił swoje wyprowadzał. Poznał domy mieszczkańskosalonowe, nie poznał domów szczerego a inteligentnego mieszczaństwa, nie zajrzał do dworu wiejskiego, nie przypatrzył się, bo przypatrzeć się nie mógł, naszemu życiu gromadnemu. Zresztą gdyby nawet wszystko poznał, surowym miał być dla nas, nie byłoby w tem nic złego. Bądźmy sami surowymi dla siebie, to wtedy cudzoziemcy nie będą potrzebowali względem nas uprzedzeniami się rządzić. Zasłepienie i samochwalstwo jest zawsze chorobą; ktokolwiek postawi jej dyagnozę, ten przysługę tylko wyswiadczy. Zarzucając nam przywiązanie do zbytku i wystawności, gonienie za pozorami, żądze błyszcznienia—Brandes, niestety, wcale się nie myli: kochamy przedewszystkiem formę, chętnie karki pod obroże jej schylamy. Niedostateczność treści własnej, zbitej, silnej jest największym z nieszczęść naszych. Wątpliwość naszego życia umysłowego dusze zpośród nas trwoży—prawe przeraża...

Wspominamy o tych zimowych odczytach Brandesa, bo chcemy pokazać, jaką drogą dochodził do ocenienia naszej poezyi, jak sobie poczynął, nim wszystkie te brylanty, rubiny i szmaragdy na delikatnej wadze swych sądów pokładł. Bezpośredni obserwator życia rozbitego na atomy, za pośrednictwem historyi,—którą widocznie czytał,—poznał życia tego syntezę. Tym sposobem choć nie zna języka, wyrobił sobie przekonanie własne o utworach i siłach, które je wydały. Przy takiej metodzie przyznanie romantyzmowi polskiemu podniosłego stanowiska w literaturze świata musiało nabrać znamion przedmiotowej prawdy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY.

J. I. Kraszewskiego.

Macie tam już podobno wiosnę; natura, która spała, przebudza się do życia. Tu drzemała tylko: niema więc znacznego przebudzenia i tej zmiany dekoracji, tak naglej, tak wesołej, czarującej jak u nas—właściwie, niema wiosny, tylko przejście jakies z jesieni, która mogłaby być piękniejszą, do lata wprost. Ale w tym roku, powiadają wszyscy, że stan atmosfery tak jest wyjątkowy, iż z niego o zwykłym sądzić nie można.

Widzimy tylko wiosenne rośliny przekwitłe, bywa w południe gorąco na słońcu, a chłodny mistral powiewa w cieniu. Morze burzy się czasem i gniewa strasznie, niekiedy wygładzone odpoczywa. Nie słyszałem jeszcze ptaszków, ale żaby kumkają w błotach—prawie tak, jak u nas, choć Mickiewicz utrzymywał, że nasze odzywają się inaczej. Góry otaczające San-Remo, całe prawie okryte oliwnymi lasami, grunt wogóle nieurodzajny, spieczony, nie sprzyjają bardzo świetnemu rozwijaniu się miejscowej domowej flory dzikiej, za to po ogrodach przyswojona, tropikalna, wzbudza podziw mnóstwem nieznanymi i bardzo pięknych roślin. Ale z niemi potrzeba robić znajomości nowe, gdyż znaczniejszej ich części nawet po cieplarniach u nas nie mieliśmy poznać sposobności.

Przypominając sobie zimę, przebyta niedaleko ztąd, w Hyères, różnicę klimatu znajduję ogromną i florę też zupełnie inną. Na wilgotnych łąkach i po lasach około miasteczka, nawet na stokach Alp nadmorskich, dzika roślinność miejscowa rozwijała się daleko bujniej i żywiej. Tu za to niema tak gwałtownych i nieustannych wiatrów, jakie tam bywały. O klimacie zresztą, ów rok *wyjatkowy*, o którym ciągle słyszę, sądzić nie dozwala.

Chorzy, zniechęceni nim, uciekają ztąd i wkrótce San-Remo będzie pustem, dopóki—jak mówią—kąpiele morskie, znowu tu nie sprowadzą gości. Miasteczko, które na kilka tak zwanych zimowych miesięcy przygotowało się na ich przyjęcie, widocznie powraca do swego normalnego stanu, który zapowiada się jako bardzo—smutny i cichy. Wiele hoteli zamyka się na lato; wille zasuwają okiennice, gospodarze obwarowują się od gorąca, którego obawa zdaje się, aż do przesady posunęta—gdyż skwary nigdy tu nie dochodzą do tego natężenia, jak u nas nawet, a powiew od morza ochładza powietrze. Tu, jak wszędzie teraz, jest jednak obyczajem wieku, nie spędzać lata tam, gdzie się przebywało zimą; rozjeżdżają się więc wszyscy, a kto wyjechać nie może, zamyka żaluzje przynajmniej, aby się zdawało, iż zadosty uczynił—modzie. Taksamo dzieje się i tu, i w Szwecyi, i wszędzie. Podróż letnia, stała się potrzebą i zwyczajem—powiedzmy otwarcie: modą. Wypędza ona i u nas mnóstwo posłusznych jej zagranicę pod pozorem zdrowia i potrzeby zmiany powietrza, i gdy na stacyach klimatycznych wszystko pustoszeje, gdzieindziej sposobią się panowie właściciele hotelów, pensyi, willi do straszliwego odzierania wędrowców. Słyną szczególnie z umiejętności wyzyskiwania cudzoziemców Szwajcarowie i Niemcy. Niedawno temu jeszcze język i obyczaj ostatnich był za granicą mało znanym, dziś obok francuzkiego zajęli miejsce zwycięzkie. Daje się jednak widzieć i uczuć to, że gdziekolwiek narodowość jedna liczniej jest reprezentowaną, tam druga, nie uznając się już panującą—znika.

Na stropie braterskiej równości w naszym wieku się nie żyje; walka o byt przeradza się w nieustającą wojnę miłości własnych. Począwszy od uznania praw wszystkich narodowości, wiek XIX doszedł teraz do oceniania ich i ważenia, jednym przysznając prawo bytu, odmawiając go drugiem. Wyobrażaliśmy sobie ludzkość jako chór złożony z wielu głosów równouprawnionych; uczą nas dzisiaj inaczej z trybun reprezentanci zarówno *vocis Dei*, jak głosu siły. Z wielkich tych a gło-

śnych zasadniczych prawd, które koniec wieku XVIII-go zapisał był na skrwawionej, niestety, chorągwi swojej, mało co już pozostało. Filozofia nowa—świadkiem p. Hartmann, który poprzedził żelaznego księcia—w imię jednych narodowości, ściga drugie; o żadnej równości mowy już niema, braterstwo uznane jest śmiesznem i t. d.

Lecz... do czego nas ta wiosna doprowadziła! Wstyd-by nam było tego zbłąkania myśli, gdyby ją ból nie zwracał zupełnie usprawiedliwiony. Tymczasem nie będzie od rzeczy wspomnieć o „międzynarodowym“ dziele, za zacofaną nie lekającą się uchodzić Akademii Bolońskiej, w której Teofil Lenartowicz wykladał niedawno o znamionach charakterystycznych poezyi polsko-słowiańskiej.

Odczyty jego ukazały się oto właśnie powłosku, we Florencyi, i noszą tytuł: „Sul carattere della poësia polono-slava. Conferenze di Teofilo Lenartowicz. (Firenze. Tipografia Barlera. 1886, 8-o min. 198 pp.). Tytuł ten nadany odczytcom, niezupełnie odpowiada daleko szerzej ujętej treści, ale starczy książeczce, której samo wisko poety byłoby do wprowadzenia w świat dostatecznym.

Nie poczuwamy się wcale do powołania krytyka i nie możemy z innych względów roztrząsać obszerniej sympatycznej tej publikacji, która we Włoszech, taksamo jak odczyty, wdzięcznie przyjęta została: powiemy tylko, iż z pewnością nikt dla Włochów o literaturze i dziejach naszych nie był przemawiać usposobionym lepiej nad Lenartowicza. Znajomość charakteru obu narodowości, długoletnie życie się z Włochami, właściwości talentu poety nawet, usposabiały go najszczęśliwiej do tych wykładów. Umiał on je ubrać w szatę najrozumialszą, najstosowniejszą dla swych słuchaczy, wreszcie najponętniejszą, bo professor nie przestał być nigdy poetą, nie stał się pedantem i umiał wybrać te rysy, które najłatwiej Włochów wtajemniczyć mogły w zupełnie prawie nieznana im przeszłość naszą. Świadczy też sprawozdania dzienników, iż Lenartowicz przyjmowany był z wielką i rosnącą sympatją przez swoich słuchaczy. Piękną i drogą pamiątką odczytów tych będzie książka, o której mówimy. Obejmuje ona ośm lekcyi, rozpoczynających się zyciorysm i rzutem oka na dzieła Kopernika, na jego system astronomiczny, poemat, rozprawę o monecie i t. d. Kopernik, jako uczeń Akademii w Bolonii i Padwie jest najwłaściwszą wskazówką stosunków, które oba kraje z sobą łączyły. Kochanowski, po nim następujący, stanowi dowód ciągłości ich i trwania. Podziwiać należy trafność, z jaką Lenartowicz dobiera rysy do obrazu kraju i poety, tak zupełnie Włochom obcego, jakimi my i poeta nasz jesteśmy dla nich. Po Koperniku i Kochanowskim idzie Malczewski, Mickiewicz i słowo o poezyi, której on był zwiastunem i najpotężniejszym głosem. Powiedzieliśmy już, że w rozbiór szczegółów książki Lenartowicza wchodzić nie możemy; zapisujemy tylko ukazanie się jej i cieszymy, że w szerszych kołach da poznać kraj, poetów jego i samego profesora, którego poezye zresztą dawniej już w pięknym przekładzie wydane, uczyniły dla Włochów przystępnym.

U tegożsamego Barberi we Florencyi, dawniej już, bo w r. 1884, ukazało się tłumaczenie włoskie trzech dramatów p. Alexandra Świętochowskiego, przez panią Waleryą Leliwę-Hryniewską, o którym niewiem czy gdziekolwiek była wzmianka. Myśmy je też dopiero teraz otrzymali. (Elvia. Antea. Sul Mercato). Artyści, z którymi mówić o nich mieliśmy sposobność, ubolewali nad tem, iż niedostatek artystek nie dozwalał mniejszym teatrom myśleć o przedstawieniu ich na scenie. W czytaniu przekład pani Hryniewskiej brzmiał nam bardzo wdzięcznie i małe te poemaciki w formie dramatycznej inaczej nam się—możemy powiedzieć—przedstawiły, niż gdyśmy je czytali popolsku. Dziwne to, że wrażeń nie tegosamego utworu w dwu różnych językach, wcale różnem być może, ale—tak jest...

Raz już dopędzeni do Włoch—jeszcze w tym liście nie opuścimy ich, za co czytelników przepraszać nie potrzebujemy. Za nadto może pisze się u nas o litera turach francuzkiej i niemieckiej,

za mało od angielskiej, począwszy od włoskiej i innych, mniej pokazywanych—jeżeli się tak wyrazić godzi—a poznania godnych. Współczesne dzieła hiszpańskie, literatura szwedzka, nowogrecka i t. p., wcale nam prawie nie są znane; o krajach też niewiele wiemy. Na ten raz nie o włoskiej literaturze mówić będziemy, ale o wycieczce do bardzo blizkiej Bordighery na—wystawę! Tak jest. Bordighera, miescina nie większa od San-Remo, ma wystawę obrazów (starzych) i starożytności odkopanych pod Ventimiglia. Nic nas to dziwić nie powinno, gdyż na tym klasycznym gruncie każde uderzenie motyki wydobyć może szczątki prastarego życia. Wybrzeże, dzisiaj słynące z łagodnego klimatu, od bardzo dawna koloniami greckimi było ożywione, które po sobie mniej wszakże zostawiły śladów niż rzymskich czasów osady.

Wystawa—o której mowa—starożytności zebranych w okolicy, szczególnie z wykopaliska w Ventimiglia, przez właściciela hotelu Windsor, mieści się w małej salce, i składa z obrazów, o które we Włoszech wszędzie łatwo, i—rzymskich zabytków. Ostatnie są wcale zajmujące. Ale rozpoczniemy od początku.

Wybrzeże to za czasów rzymskich musiało być tak zaludnione i zamieszkałe, jak dzisiaj. Są o tem wspomnienia w rzymskich historykach; San-Remo zwało się Funda Mantuciana, miasteczko Mii Ceviana zwane, nosiło mało-co zmienione imię Celiary, Taggia, Tapiary i t. p.

Dawne Albio Intemelio, było najznaczniej szem municipium okolicy, przyozdobionem i opatrzonem we wszystkie budowy i gmachy, których obyczaj wymagał. Napady barbarzyńców grody te kwitnące obróciły w ruiny; byli tu Gotowie, Longobardowie, Saraceni najbliższe brzegów Ventimiglia, ucierpiało najwięcej. Na ruinach jej, w dolinie Nervi znaleziono teraz najznaczniesze zabytki z rzymskiej epoki. Odkryto tu naprzód piękną mozaikę, we własności biskupiej, która została zmarnowana i straconą dla zbiorów miejscowych, później na posiadłości kupca Biamonti znaczne pozostałości teatru, ziemią zasypanego. Prace około odkopania-go, przedsięwzięte umiejętnie, poznać w nim dały przeznaczenie gmachu niewątpliwe. Odkrycie teatru doprowadziło do poszukiwań dalszych, nie bezowocnych, gdyż z części znalezionych tu zabytków złożyło się małe muzeum, a daleko niewątpliwie więcej ich w ziemi się jeszcze ukrywa.

Wystawione przedmioty nie są nadzwyczajnej i wyjątkowej wartości, bo się podobnych w małej kolonii spodziewać też nie było można, ale naczynia szklane szczególnież, znacznych rozmiarów i wcale dobrze stosunkowo zachowane, lampy, ułamek marmurowego posągu, naczynia rozmaitych kształtów, drobnostki brązowe—para napisów nawet grobowych, zwracają uwagę. Wszystkiemu temu już po stracie mozaiki nie dano się rozproszyć po świecie i złożył się z tego zbioru, który ciekawych ściąga.

Właściciel dołożył trochę pozbieranych z różnych stron obrazów: i oto—Bordighera ma muzeum! Zwiedzając Włochy przed laty, naówczas już mogliśmy się przekonać, że nie było trochę znacniejszego miasteczka, wsi, kościołka, gdzieby coś do oglądania nie było, i gdzieby czegoś nie pokazywano. Szczególniej kościoły zachowały zabytki malarstwa, pomiędzy którymi znajdują się, jeżeli nie arcydzieła, to pamiątki wysokiej ceny. Zwiedzanie takich zbiorów na prowincyi dla pracującego nad historią sztuki i szkół różnych, nigdy nie jest nadaremne. Tu, około San-Remo w bardzo niewielkim promieniu, wiemy o bibliotece, o galeryi, o muzeum zasługujących na widzenie. Ale do galeryi i biblioteki z San-Remo prowadzi na górę wysoką taka droga, że jej powozem nie podobna przebyć prawie, a na osiołku nie każdy się puścić może. Wogóle drogi boczne, tam gdzie interes nie zmusił ich rozszerzyć i ubezpieczyć, są przerażające.

Potrzeba być bardzo pewnym zwierzęcia, któremu się życie powierza, aby spokojnie puścić się nad krawędziami przepaści, często niczem nie obwarowanymi. A że osiom i mułom przychodzą fantazje—narażać się na nie—nie godzi.

Ja więc, o bibliotece i galeryi słuchać tylko

muszę, bo inaczej, niż powozem, dostać-bym się tam nie mógł, a i powozem nawet, gdy się przyjdzie mijać z beczką wina na mule wieszoną, który jest w złym humorze, i gdy koło jedno na skromku drogi się ślizga—lepiej już wysiąść na piechotę. Cóż, gdy się nóg nie ma? Naówczas opiera się na ramieniu przyjaciela i zwleka na dół, nic nie zobaczywszy. Ale na silnych wrazeniach słabym nogom nie zbywa.

Do miasteczek, jak Tuggia dla zobaczenia co się to tu nazywało ulicą, placem i pałacem, dojechać jużci można, ale zawarowawszy się od spotkania bodaj z pieszym przechodniem, na którego już miejsca niema.

Malarzowi tu nie zbywa na malowniczych motywach; ale co za wonie, jaki straszliwy brud w tych gniazdach odwiecznych, co za dekoracje z łachmanów,—wybladłe twarze, znamiona ubóstwa, znękania... walki o byt straszliwej! Życie tu utrzymać może łatwo, ale jakież to życie!

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— W *Przeglądzie Pedagogicznym* z zeszłego miesiąca (1 Kwietnia 1886 r.) spotykamy wielce dla matek i wychowawców wogóle zajmujący artykuł Dr. Łuczkiwicza: „O stosunku pedagogiki do higieny.“—„Ileż to wad, nałogów, złych nawyków nabyć może dziecko źle prowadzone, z którymi potem człowiek dorosły, lekarz i higienista całe życie walczyć musi i częstokroć bezskutecznie dla pokonania szkodliwości, nabytej w epoce wychowania“—píše Dr. Łuczkiwicz, a sądzić można, że prawdę tego zdania rozumie każdy. Matka, można powiedzieć, stanowi o tem, czy dziecko jej rozwinię dane mu od natury siły i zapasy zdrowia, organizm słabowity wzmocni o ile można, i żaden doktor nic tu nie zrobi bez czynnego współdziałania wychowawców. „Uciążliwymi a bezskutecznymi będą wszelkie najrozumnniejsze prawidła higieniczne, płonniemi i nudnymi wszelkie nawoływania lekarza, kosztowną a nawet niebezpieczną zabawką gimnastyka i tyle innych środków nauką (przez naukę) zdrowia podawanych, jeżeli pedagog nie przyjdzie z pomocą higienie bezustannem przestrzeganiem zasad zdrowotnych w postępowaniu i całym zachowaniu się dziecka, opiece jego powierzono.“ Ztąd dla sumiennych wychowawców wypływa obowiązek „dokładnego zapoznania się z wymaganiami i prawidłami higieny.“ „Dla higieny pedagogika jest pomocą, dla pedagogiki higiena jest podstawą“ i na tej zasadzie wymaga Dr. Łuczkiwicz od nauczycieli i nauczycielek, od kierowników i kierowniczek zakładów wychowawczych odpowiednich wiadomości higienicznych. Zawód nauczycielski jest niewątpliwie pracowitym i kłopotliwym, nielekomyślnie też dokłada mu Dr. Łuczkiwicz nowy ciężar. Ale jest on koniecznym, bo „niezbędnym do rzetelnego spełniania powinności zawodowej nauczycieli“, a w dodatku wychowanie prowadzone higienicznie ułatwia prowadzenie dziecka, ułatwia nauczanie. Ze matka powinna również znajomość higieny posiadać, rozumie się już samo przez się, a zdaniem mojem matce to właśnie ułatwi szczególnie jej zadanie. Przez miłość macierzyńską matka każda pragnęłaby otoczyć dziecko swoje wszelkimi możliwymi wygodami i przyjemnościami, i często, bardzo często to uczucie jest źródłem zbyt pieszczotliwego—osłabiającego, denerwującego wychowania, przez które potem dziecko staje się niezdolnym do pracy i energicznej działalności, do zniesienia życia warunków cięższych, do potrzebnej ludziom niezamownym oszczędności i obywatelstwa się bez wyrafinowanych wygod. Znająca skutki tego, co czyni, zdołałaby przez miłość dziecka zwyciężyć samą siebie i z jednej strony zapanowałaby w wychowaniu najbogatszych nawet dzieci potrzebna prostota obyczajów, z drugiej nie byłoby tego forsującego przeciążania ich nauką i talentami, jakie dziś rozciąga się niemal na ogół cały.”

Każdy myślący nauczyciel musiał oddawna

czuć potrzebę wiedzy higienicznej, Żmichowska już podnosiła głos w tym przedmiocie. W artykule o *bonach*, drukowanym w piśmie naszym, upomina się u rodziców o to, aby ta pomocnica matki w wychowaniu małego dziecka już posiadała coś wiadomości higienicznych i przy objęciu swych obowiązków miała sobie dane przez lekarza wskazówki, jak jej postępować należy. I w jej *Listach do krewnych i przyjaciół* spotyka się to samo; pod postacią rady, danej kilkakrotnie, to matkom, to młodej nauczycielce, dowodzi, że często dziecko leniwe, dziecko apatyczne i niezdolne, jest przede wszystkim dzieckiem chorem, anemicznym. Brak energii w organizmie fizycznym sprowadza bardzo często brak energii ducha: pojętności, wyobraźni i tej władzy assimilowania sobie przez umysł pojęć i poglądów, która jest podstawą wychowania.

— Książka używająca wielkiej wziętości w powszechnej literaturze pedagogicznej, napisana oryginalnie przez Duńczyka: Heegaarda, profesora filozofii na uniwersytecie w Kopenhadze, a obecnie przełożona na język niemiecki przez Dr. Gleiss'a „*Obraz pedagogii i jej historia*“, popiera zdanie Dr. Łuczkiwicza, bo professor duński żąda od pedagoga bardzo szerokiego zakresu wiedzy, i wykształcenia, nie ograniczającego się tylko do przedmiotów, które wykładać zamysła. — Autor zwraca się z tem do młodzi, obierającej sobie zawód nauczycielski. która przecież nie zawsze rozumie, jak poważnie i wielostronnie przygotować się trzeba do niego. Nauczycielstwo jest specjalnością, tak zupełnie, jak naprzykład medycyna i niedość jest posiadać wykształcenie ogólne, choćby nawet rozległe. Trzeba wiedzieć jeszcze, jak uczyć należy: „umieć uczyć“; więc też oprócz wiadomości w przedmiotach obranych, potrzeba jeszcze niepozbieżnych studiów psychologicznego i fizjologicznego organizmu człowieka i dziecka. „Pedagogia jest umiejętnością, opierającą się zasadniczo na studiach zdolności umysłu i ciała ludzkiego, co jest tak potrzebnem nauczycielowi, jak nauka anatomii i fizjologii potrzebną jest lekarzowi.“

Pedagogia nie jest umiejętnością, opartą na formułach naukowych, jest ona zarazem doświadczalną i ma podstawę w reflexyi, wymaga też stałej czynności umysłu i autor wykazuje obszernie, jak wewnętrzna praca myśli powinna być rozbudzona w nauczycielu. Pierwszy tom dzieła poświęcony jest nauce pedagogii pod wszystkimi jej względami i we wszystkich zastosowaniach. Plan jest zarysowany szeroko. Autor traktuje najpierw edukacją fizyczną, potem moralną. Pożywienie, trawienie, krążenie krwi, oddychanie, mięśnie, mózg, systemat nerwowy, to część pierwsza. Nauczyciel, godzin tej nazwy, powinien znać nie powierzchownie wszystkie funkcje fizycznego organizmu, aby w sprzeczności z nimi się nie stawiać i w skutek tego nie nadwierać zdrowia wychowanka, i intelektualnego rozwoju przez wadliwą higienę nie wstrzymywać.

Część druga, o wiele obszerniejsza od pierwszej, rozpada się na trzy działy i obejmuje edukacją inteligencji, edukacją uczucia, edukacją woli, wszystko traktowane w sposób szlachetny, z nastrojem ducha podniosłym. Rozdział o nauczaniu historii jest niepospolitym i uczy, jak rozbudzać w piersi dziecka najwyższe uczucia człowieka, miłość rzeczy swoich; rozdział o nauczaniu religii piękny i rozumny. Nauczyciel nie ma się ograniczyć do pamięciowej nauki katechizmu, powinien on wzruszyć w dziecku uczucie religijności i przez to dać początek wewnętrznemu życiu ducha istoty młodej. Nie godzi mu się naruszać wiary dziecka przez wywody, do których nie ma prawa, i kładąc przytem nacisk na indywidualny charakter religii, autor duński nakazuje nauczycielowi, aby wykład religii był „wiatykiem moralnym na drogę życia i popchnięciem ku dobremu.“

Drugi tom obejmuje historią wychowania, i sięga czasów starożytnych państw azjatyckich. Dalej, już obszerniej, pisze o Grecyi i Rzymie, przechodząc przez Wieki Średnie do naszych czasów. Książka to bardzo użyteczna nietylko jako wskazówki pedagogiczne; otwiera ona przed

oczyra pedagoga szerokie horyzonty moralne, wykazuje mu jego obowiązki i ich ważność, ich godność—odpowiedzialność wobec ludzkości i społeczeństwa swego.

— Opierając się na zasadzie nowej pedagogii, która nakazuje, aby oświecanie umysłu dziecka zaczynając się od najbliższych mu przedmiotów, posuwało się stopniowo ku dalszym, francuzki urzędnik w zarządzie szkolnym, w Dijon, Gaudelette, napisał dla użytku młodych czytelników „*Historią wojny z 1870—1871 r.*, w departamencie Côte d'Or.“ Dziecko tamtejsze, znając miejscowości, o których mowa, a często ludzi, którzy byli aktorami w sprawie obrony narodowej tej części Francji silniej i żywiej zainteresuje się rzeczą, niżby to być mogło, gdyby nauka zaczynała się od Gallów i Rzymian i przeznaczeniem książki, jak tłumaczy autor, jest stworzenie w umyśle dziecka zdolności zajęcia się wypadkami historycznymi w ten sposób, aby je brało razem do umysłu i serca. Wychowawcy francuzcy podzielają najzupełniej zdanie autora książki, za którą krytyka organów pedagogicznych dziękuje mu, jako za czyn obywatelski i wyraża pragnienie, aby każdy departament Francji miał tak napisaną historią swoją *Strasznego Roku* (*L'année terrible*). Dziecko, które już wie ze słyszenia, co to jest w stosunku do Francji Niemiec, zrozumie na podstawie praktycznego punktu widzenia historyczne starcia ludów, i wytworzy się w nim rzeczywiste zmysł pojętności historycznej. Ze autor książki, opowiadając wszystkie wypadki starć i potyczek, jakie zaszły na przestrzeni departamentu Côte d'Or, malując posuwanie się stopniowe wojsk niemieckich, przedstawia fakta pojedynczego zajmowania miast i wiosek, oraz obrony sił miejscowych, więc na teatr jego opisów występują postacie ludzi rozmaitych, maluczkich i pospolitych wobec świata: wieśniaków, mniejszych i większych właścicieli, kobiet, małych urzędników miejskich i wiejskich, wojskowych niższych stopni, którzy stają się bohaterami, albo męczennikami i dziecko zaczyna pojmować z jakiej to siły, z jakiego to ukochania ognisk domowych wytwarza się wielkie uczucie, które rządzi historią i występuje w wielkich jej czynach, skarbi sobie wielkie nagrody sławy. Ernest Cuissart, rozbierając książkę Gaudelette'a, czyni uwagę, że nauczyciele i rodzice powinni tak w szkołach elementarnych, jak i w domowej edukacji poczynać sobie wedle tego wzoru, a wtedy „uczeń, czy uczennica, mając już umysł przygotowany do nauki historii właściwej, nie będzie przyjmować biernie do wiadomości swej pamięci faktów historycznych, ale ożywi je sobie siłą młodego uczucia i wyobraźni, i w skutek tego pojmie ducha dziejów ludzkości.“

— Dzieci rodziców ubogich, tak w większych, jak mniejszych miastach, nawet uczęszczające do szkoły, są narażone na demoralizujące zetknięcie z ulicą lub waleśnianie się po podwórzu, bo jeżeli tylko i matka pracuje podobnie, jak ojciec, poza domem, nie mają gdzie się podziać po wyjściu ze szkoły. Przytem pomieszkania ludzi ubogich są wogóle ciasne i duszne, najczęściej niejedna rodzina zamieszkuje izdebkę małą, więc dzieci, póki tylko mogą, przepędzają czas wolny poza domem i rozpuszczają się, psują moralnie, nawykając do dzikiego koczowania, które im utrudnia potem wytrwanie przy pracy. Więc w wielu miastach Niemiec niezależnie od stałych przytułków dla sierot i dzieci opuszczonych, utworzono przytułki chwilowe dla chłopców (*Knabenhorste*), gdzie przebywać mogą po godzin kilka, to jest w czasie, gdy szkoła już się zamyka, a dom rodzicielski jeszcze przyjąć ich nie może. Dobroczynne schronienia dla dzieci takich, mieszcząc się zwykle tuż obok szkoły, tak, że chłopiec wychodzący z niej, może, jeżeli zechce, przejść tam i według woli zająć się jakąś pracą, lub uczyć się zadanych lekcji, lub tylko bawić się. Aby dzieci przyciągnąć ponętą grosza, dają im tam sposobność zarobku, to łupanie drobno drzazg do podpałki ognia, lub jakieś struganie, to równanie słomy ryżowej do miotełek, plecienie słomianek, obieranie jarzyn przekupkom i tym podobne zajęcia lekkie

NOWINY PARYŻKIE.

Kobiety lekarki w Paryżu.

i łatwe, które odbywane gromadnie stanowią dla dzieci raczej rozrywką niż pracą, a uboższemu dają zarobek tych kilku groszy, za które mogą sobie kupić podwieczorek lub wieszczkę. Przytulki chwilowe, były aż dotąd dziełem filantropii prywatnej, ale obecnie istnieje już w Lipsku takie schronienie na koscie gminy miejskiej, która, skłoniwszy się do prośby Dr. Sachsa, dała mu na ten użytek obszerną salę, w pobliżu jednej z miejskich szkół elementarnych i przeznaczyła 1,500 marek rocznego zasiłku, który obracany bywa w części na pensję dozorcej dzieci, w części na inne potrzeby schronienia.

Obszerna sala pozwala na gimnastykowanie się i ruch zdrowy po kilkogodzinnym siedzeniu na ławkach szkolnych. Otwiera się przytułek codziennie o godzinie czwartej po południu, to jest z chwilą, gdy zamyka się szkoła, w Czwartki i Soboty, które są dniami rekreacji po południowej, bywa otwierany już o godzinie 2-iej. Wychodzą z niego dzieci o 7-iej, a należy dodać, że karność tych przytułków nie jest bynajmniej ścisłą karnością szkoły, bo najpierw dziecko po kilkogodzinnym tam przebywaniu potrzebuje swobody, powtórę surowość reguły odstraszałaby dzieci, które tylko własnowolnie zgromadzać się tu mogą. Przytem dziecko, niekrępowane przepisami, daje się łatwiej poznać w przymiotach i wadach swoich, na które można też tem korzystniej oddziaływać. Według zdania Dr. Sachsa, dzieci w przytulku okazują się lepszymi, niż są w szkółce i często bardzo uczeń, tam leniwy, tu okazuje się pracowitym i chętnym do roboty według własnego wyboru. Przytułek daje pokój, do którego drzwi chłopcom wszelkie możliwe zajęcia, które wybierają własnowolnie ale niemniej otrzymują wskazówki i dobre rady. Mogą według chęci pracować razem po kilku, lub każdy dla siebie. Na Wielkanoc urządzono właśnie wystawę ich robót, a chętnie zwiedzająca ją publiczność, oglądała i kupowała małe teatrzyki, pokoje dla lalek, pudełka z tektury, niektóre wcale gustowne i ozdobne, rozmaite koszyki i koszyczki, odciski na glinie monet, medali i liści, patery do domowego użytku, wycinania z papieru, szydełka, kolby do strzelb. Niektórzy chłopcy dokonywali prostszej oprawy książek, kleili etykiety do tamtejszego ogrodu botanicznego, rysowali wzory geometryczne, wyrabiali pewne instrumenta fizyczne—a wszyscy nabierali zamiłowania do pracy, rozwijali w sobie siły i zdolności do niej, odkrywali drzemiące w sobie skłonności i talenta. Przytułek Dr. Sachsa ma dwóch dozorujących nauczycieli, mieści trzy warsztaty rzemieślnicze, wielki stół do pracy i szafka do chowania narzędzi i materiałów; lecz niestety, przyjąć może tylko 40 chłopców. Po czasie przeznaczonym na przekąskę, która jest ich wieczną, przechodzą do sali szkolnej i tu odrabiają zadane im w szkole wypracowania i uczą się lekcyi; potem są już wolni. Według tego, jak czas na to pozwala, praca odbywa się pod dachem lub na świeżem powietrzu; niekiedy nauczyciel prowadzi ich gdzieś na przechadzkę i wtedy zabierają się ze sobą latawce, poprzednio sfabrykowane, jeżeli to lato, lub łyżwy, jeżeli jest to zima i po ciąga malców chęć ślizgawki. Niekiedy nauczyciel coś im czyta, lub na żądanie daje książki do czytania, cichego lub głośnego w kółkach które między sobą tworzą. Bywają nawet grywane tam komedijki, nieraz pisane przez nich samych, które tylko nauczyciel dozorujący poprawia. Jest to, jednym słowem, możliwe zastępowanie rodzinnego domu i rodziców, których praca na chleb gdzieś dalej zatrzymuje. Dr. Sachs zdając magistratowi miasta sprawozdanie za rok 1885, zakończył je gorąco wyrażonym życzeniem, aby wszystkie dzieci rodzin pracujących znaleźć mogli przytulki, chroniące przed zepsuciem. Coby wydano w tem kierunku, oszczędzonoby na kolonie poprawcze dzieci moralnie zaniedbanych.

Niedawno z powodu kwestyi kobiet lekarek, przeniesionej na scenę teatralną, mówiłem wam o doktorkach praktykujących w Paryżu, podałem nazwiska, wskazałem liczbę. Teraz mam przed sobą raport p. Béclarda, dziekana fakultetu medycznego w Paryżu, do rady akademickiej o kobietach w szkole medycyny. Sprawozdanie to może być zajmującym, zwłaszcza oile cudzoziemek dotyczy. Wyimuję z niego niektóre bardziej zajmujące szczegóły.

Według raportu liczba kobiet, uczących się w szkole medycznej wynosi obecnie 103. Pomiedzy rozmaite narodowości rozdzielają się one następnie, w porządku rosnącym liczb: Indyanka 1, Turczynka 1, Węgierka 1, Rumunka 1, Austriaczka 1, Amerykanek 3, Francuzek 8, Angielek 11, Polek 29, Rossyanek 47. Razem 103.

Przeszłego roku w tym samym czasie, powiada raport, mieliśmy tylko 78 uczniów płci żeńskiej; liczba ich widocznie pomnaża się ciągle. Autor zaznacza wszakże, że to pomnożenie nie tyczy się bynajmniej Francuzek; mieliśmy ich 13 roku zeszłego, dziś mamy tylko 8. Na 78 uczennic w roku szkolnym 1884—85 dwie otrzymały stopień doktorski, jedna stopień „Officier de Santé“, czwarta umarła wskutek samobójstwa.

Pod względem poprzedniego wykształcenia literacko naukowego, każda z 8 Francuzek posiada dwa dyplomy kandydatek (baccalauréat): literatury i nauk ścisłych—prócz jednej z nich, którą uwolniono od złożenia dyplomu literackiego. Ale potrzeba zauważyć, że ta rodzila się w Rosyi, z rodziców Francuzów i że tam odebrała wykształcenie literackie.

Zpomiedzy 11 Angielek 10 odebrało za nauki odbyte w Anglii dyplomy odpowiednie dwóm francuzkim literatury i nauk ścisłych, a jedna z nich została uwolnioną od złożenia obudwu dyplomów.

Trzy Amerykanki, Rumunka, Węgierka, Turczynka, otrzymały wszystkie za nauki brane we własnej ojczyźnie, dyplomy odpowiadające dwóm francuzkim literatury i nauk ścisłych.

Co zaś do 29 Polek i 47 Rossyanek, to z ogólnej liczby 76 uwolniono 57 od złożenia dowodów odbytych nauki literackiej i od trzech nie wymagano wcale dyplomów dających rękojmię przygotowania naukowego; od reszty przyjęto dowody, jakie posiadały.

Zpomiedzy sześciu fakultetów medycznych Francyi jeden tylko służy cudzoziemkom za pole do zdobywania wiedzy specjalnej: fakultet paryżki; studentek medycyny uczących się nie w Paryżu dotychczas było bardzo mało.

Na przyszłość każdy wstępujący na fakultet medyczny będzie poddany examiniowi prowadzonemu przez rektora i dziekana fakultetu literackiego i naukowego. Gdyby w skutek tego examinu okazała się najmniejsza wątpliwość, co do wykształcenia i studyów odbytych w zawodzie literackim i naukowym, kandydat może być zobowiązany do jednej albo i więcej prób examiniowych.

„Sama godność uniwersytetu francuzkiego wymaga—pisze p. Béclard—aby nie dać powodu do głoszenia w krajach nam sąsiednich, że my otwieramy wrota do naszych wyższych zakładów naukowych, takim osobom, które w tych krajach nie uważają się za godne dopuszczenia do tych zakładów. Wszakże nie potrzeba zapominać, że my nie odpychamy nikogo, i że wykształceniu literackiemu i naukowemu niedostatecznemu odpowiadają u nas dwa stopnie stosowne; mówię tu o dyplomach „officier de santé“ i akuszerki.

Nie trudno jest przewidzieć, że za lat kilkanaście nagromadzi się masa kobiet lekarek, iż nie wszystkie zdołają wyciągnąć rzeczywistą korzyść z otrzymanego za cenę wielkich i długich poświęceń dyplomu. Będzie i tu hyperprodukcya i bezrobocie—w tym zawodzie gorsze, niż w in-

nych. Na 25 kobiet lekarek praktykujących—u naszych sąsiadów Anglików—mówi Béclard—ośm musiały być zamknięte w zakładach specjalnych, poświęconych leczeniu osób dotkniętych pomieszaniem zmysłów. Ośm! prawie jedna na trzy! Byłyby to przerażający stosunek. Jeżeli te liczby statystyczne są prawdziwe, niewątpliwą jest rzeczą, że jest w nich coś bardzo nieprzyjemnego dla kobiet—i należy szukać może przyczyny tego, mniej we wpływie, jaki wywierają nauki medyczne, ile w usposobieniu popychającym do uprawiania tych nauk.

Raport podpisany imieniem takiej powagi naukowej, jaką jest p. Béclard, pokazuje nam, jak się tu zapatrują na ten przedmiot ludzie poważni i wysoko wykształceni, a przytem fachowi. Znajdą się tu wskazówki dla tych młodych kobiet, które szukają na tem polu ziszczenia wielkich, a czasem może próżnych, nadziei. Dałem mu miejsce w mojej kronice, bo może posłuży to komu jako ostrzeżenie i rada. Zresztą, kwestya ścisłych wstępnych egzaminów zmienia całkowicie dawniejsze położenie kandydatek we Francyi i stanowi okoliczność pierwszorzędnej wagi przy obieraniu zawodu lekarskiego przez cudzoziemki we Francyi.

NAJNOWSZE WYNALEZKI I ODKRYCIA NAUKOWE.

(Dokończenie).

Pani Treat w ostatnich latach odbywała liczne doświadczenia z rośliną mięsiożerną Florydy, *Saracenia*, zwaną też *dzbanecznikiem* (*Saracenia varicularis*). Rezultaty jej poszukiwań pomieścił dziennik *The Nature* z którego korzystamy.

Wiadomo, że w liściu saraceni nerw środkowy (*nervus medius*) zwany też *zęberkiem* (*costa media*), przedłuża się poza liść, tworząc rodzaj urny głębokiej od 6 do 8 centymetrów, a 2 do 4 centymetrów szerokości mającej. Otwór tej urny osłonięty jest pokrywką, która otwiera się i zamyka pod wpływem pewnych warunków. Zrana urna zapełniona jest wodą czystą a pokrywka otwór osłania; w ciągu zaś dnia pokrywka unosi się zwolna i woda w części paruje. Pasek tkanki purpurowej otacza krawędź urny i wydziela płyn słodki pociągający owady tak pełzające po ziemi, jak i latające w powietrzu. Mrówki zwłaszcza są wielce na ów płyn łakome, całemi też szeregami pełzną ku urnie i wdzierają się do niej, lecz już bezpowrotnie. Zakosztowawszy przysmaku, owady te przedstawiają osobliwe zjawisko; ciało ich drży na osłabionych nóżkach, ruchy są nieprawidłowe i w końcu owady bezsilne padają. Jeżeli odłączymy je od liścia, zachowują się przez pewien czas spokojnie, lecz jak tylko przyjdą do sił pną się znowu do urny. Trucizna zawarta w słodkawym płynie nęci je ku sobie jak wino pijaka, jak fajka palacza tytoniu, nargilla zwolennika opium. Owady większego wzrostu przejawiają te same symptomata co mrówki i muchy, lecz trucizna nie tak szybki wpływ na nie wywiera. Pani Treat w ten sposób kreśli swe spostrzeżenia:

„Ogromny żuk żywił się wydzieliną świeżego liścia dzbanecznika, który jeszcze mało zwabił ku sobie ofiar. Po nasyceniu, zagłębił się żuk w urnę tak głęboko, że nie mogłam z niej go wydobyć, nawet wstrząsając silnie dnem urny. Była już późna godzina wieczorna, gdy żuk mi zginał przed oczu; nazajutrz zrana utworzyłam urnę, rozdzierając ją na pół; owad żył jeszcze lecz był cały oblepiony słodkawym płynem, wydzielonym z wewnętrznej powierzchni urny, a nogi jego oddzieliły się zaraz od tułowia, gdy go wydobywałam z więzienia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, straszliwy dzbanecznik pożerał żywą swą ofiarę. Być może, nie mam prawa nazwać go *straszliwym*, gdyż roślina zdaje się dostarczać swym ofiarom przed ich pożarciem rodzaju nektaru przypominającego wody Lety.“

„Jeżeli ilość owadów zawartych w urnie nie jest znaczną, nie daje się uczuć żadna woń przykra, lecz jak tylko ilość ich wzrośnie, wywiązuje się zaduch wstrętny. Roślina nic nie cierpi widocznie z powodu zgniłego rozkładu pokarmów, gdyż trawi doskonale mięso świeże, jakie jej podawałam, potrzeba wszakże, aby to było dobrze zwilgoconem. Co do trawienia zwłok owadów assimilacja pokarmu następuje szybko, po upływie bowiem trzech a najpóźniej czterech dni, z owadów pożartych przez roślinę, pozostają tylko skizydlą i części twardsze ich tkanki mięsnej.”

Ciekawem byłoby poznać skład chemiczny płynów trawiących Saraceni — postać, w jakiej pokarmy zostają przez nią spożyte i sposób, w jaki one dostają się do organizmu roślinnego.

* * *

Paweł Bert klasyfikuje na kilka kategorii doświadczenia odbywane nad ściętymi winowajcami.

Z tych jedne odnoszą się do poszukiwań fizjologicznych, zastosowanych do wszech zwierząt wogólności, i dotyczą trwania kurczów mięśniowych, drażliwości nerwów, centrów nerwowych, odruchów i t. p. Według Berta z tej sfery badań niewiele nauka odniesie korzyści, odbywając doświadczenia na człowieku, pies bowiem lub królik dadzą rezultaty pewniejsze, łatwiejsze do sprawdzenia i studyowania w warunkach najrozmaitszych.

Inne znów doświadczenia dotyczą rozwiązania niektórych zagadnień fizjologicznych, odnoszących się do człowieka, lub też stwierdzenia na nim szczegółów faktów fizjologicznych, znanych już z doświadczeń odbytych na zwierzętach. Tą kategorią badań dotąd mało się zajmowano; obejmuje ona akcje prawie nieznanne pewnych mięśni i niektórych nerwów ruchu; wpływ tychże na organa wewnętrzne jako to: przeponę, (dyafragmę) żołądek, trzewia, pęcherz, płuca i t. d. kurczliwość pożytywaną dotąd za wątpliwą niektórych organów, jak na przykład, przewodów gruczołowych, płuc i t. p.—naturę pewnych wydzielin gruczołowych, gruczoł zazołdkowy (pancreas), gruczoły ślinowe, trzewiowe; ilość i jakość krwi w rozmaitych okolicach ustroju organicznego—obecność lub nieobecność gazu w rozmaitych częściach trzewiowych, naturę tego gazu, stan trawienia etc. W tego rodzaju badaniach Bert radzi wstrzykiwanie krwi i oddychanie płucne zastosowane do osobników ściętych w celu utrzymania własności ich tkanek organicznych.

Fizjolog ten wszelako protestuje stanowczo przeciw wtryskiwaniu krwi do głowy ściętego winowajcy w celu przekonania się, czy ta zachowuje jeszcze świadomość; próby w tym kierunku dokonywane powstały w skutek wielce ciekawego doświadczenia Brown-Seguard'a, który przywrócił do życia głowę psa odciętą od kadłuba i wprowadził w niej krążenie krwi. Próba taka—powiada Bert — wykonana na człowieku, nie przedstawia wielu szans powodzenia, gdyż krew z utratą świadomości umysłu ulega szybkiej zmianie, a z drugiej strony, nie mamy prawa odbywania tych barbarzyńskich doświadczeń. Gdyby się one powiodły, zadałyby nieszczęśliwemu ściętemu niewydowiedziane męczarnie moralne i fizyczne. Otóż kodeks karny francuzki z r. 1791 orzeka: „Kara śmierci zasadza się na prostem pozbawieniu życia, bez zastosowania tortury do przestępców”—prawo zatem jest w zgodzie z sumieniem i zabrania tego co sumienie potępia.

Bert poczytuje za konieczne opublikowanie swego protestu przeciw nadużyciom, jakie do zbytku się mnożą.

* * *

Pouchet wykrył w wydzielinach cholerycznych alkaloid wielce zmienny, wywierający na ludzi i zwierzęta wpływ gwałtownej trucizny. Ciekawem było zadaniem dla samej patologii wykryć sposób produkcji i rolę, jaką ta materya odgrywa w przejawach cholerycznych. W tym celu Pouchet poddał analizie roztwór pozyskany z mikroba Kocha i wyszedł w nim obecność alkaloidu, którego cechy zewnętrzne, jak woń, zmienność, i jadowitość oddziaływająca na zwierzęta, są całkiem identyczne z materyą otrzymywaną z wydzielin cholerycznych.

Jeżeli dalsze badania potwierdzą te pierwsze rezultaty, będzie to niezbitym dowodem, że *mikrob Kocha jest czynnikiem wyłącznie zabójczym w choleryce.*

* * *

Amerykanie coraz więcej użytkują z dróg żelaznych powietrznych według nowego systemu, — który zastosowało stowarzyszenie zawiązane w celu zbudowania takich dróg na długości 1,600 metrów w mieście Cambridge (w Stanach Zjednoczonych).

Droga jest tylko jednoszynowa, wsparta na linii słupów w wysokości 4.2 metrów (prawie 14½ stóp polsk.) od powierzchni ziemi. Droga właściwie składa się z dwóch szyn pomieszczonych poprzecznie jedna nad drugą w odległości 1.2 metra; słupy pozostają od siebie w odległości przeciętnej 13.5 metrów i głęboko wbite są w beton; wagony mają sześć kół. Dwa koła z jednej i z drugiej strony wagonu, czyli cztery koła bieżną po szynie dolnej, tworząc z nią kąt 45 stopni w punkcie zetknięcia, dwa zaś pozostałe koła pomieszczone horyzontalnie pod wagonem zstawiają się z poziomem szyny górnej, wzdłuż której toczą się z obu stron.

* * *

W Szwajcaryi, w wiosce Meyrin, istnieje kilka studni osobliwszych, przepowiadają bowiem mieszkańcom deszcz lub pogodę. Studnie te, oddawna zaniebane, dochodzą wielkiej głębokości i są hermetycznie zamknięte kamieniami ciosowymi. Wywiercono w nich, w niektórych miejscach, otwory dochodzące w obwodzie dziesięć tymentrów (przeszło 4 cale polsk.) i pozyskano za pośrednictwem tych szpar doskonałe barometry. W rzeczy samej, gdy ciśnienie atmosferyczne zmniejsza się, powietrze wewnętrzne uchodząc przez owe otwory, oddziaływa na świstawkę w nich pomieszczoną; deszcz więc, ślota lub zawierucha prawdopodobnie nastąpi i nakazuje przedsięwziąć pewne ostrożności. Jeżeli, przeciwnie, ciśnienie atmosferyczne zwiększa się, całkiem inny szmer ostrzega o tej zmianie — niebo wypogadza się i każdy może spokojnie zajmować się swym fachem i interesami.

* * *

Ameryka jest krajem niespodzianek. Wykryto obecnie w Georgii w głębi kopalni miedzi u podnóża gór Kennesaw, *źródło atramentu.* Płyn przedstawia się w postaci wina mocno zabarwionego, dodatek jednak kilku gałek galasowych wystarcza do nadania mu pięknego czarnego koloru i wytworzenia atramentu wyborowego, który nie rozkłada się, nie gęstnieje w gruzły i nie utlenia stalówek. Żaden z dotąd fabrykowanych atramentów nie posiada tylu cennych przymiotów.

Natura obdarza człowieka tem, czego najwięcej potrzebuje; w dziewiętnastym stuleciu, liczącym tylu rycerzy pióra, daje im całą rzekę atramentu.

* * *

W gazetach niemieckich pomieszczono następną wiadomość otrzymaną z Titusville, miasta Pensylwanii.

„Jeden z nadzwyczajnych wypadków i dotąd jedyny wydarzył się w ostatnich czasach i żywo zainteresował targowiska. Studnie Armstrong'a wiercono w pokładzie łupku, który nie zdawał się być zbyt twardym. Jednego dnia przedsiębiorcy zamierzili wypróbować siły torpili w tej studni i spalili tam 50 kwart nitrogliceryny. Jak tylko nastąpił straszliwy wybuch, wypłynął ze studni *olbrzymi potok oleju*, który w szalonym prądzie wdarł się do cyrku Thorn. Nikt nie był przygotowanym na ten niespodziewany rezultat, wszyscy osłupieli na widok szerokiej rzeki olejnej rozlewającej się na wszystkie strony. Wkrótce jednak oprzytomniała garść robotników, którzy rzucili się do pracy i skierowali potok do zbiorników. Rzeką ta dostarcza na godzinę 400 beczek oleju, co czyni na dobę 9,000 beczek.

* * *

We Francji rozwiązaniem zostało zadanie użytkowania gołębi do przesyłania depeż w armii. Pierwszy gołębnik był zbudowanym w r. 1878 w zarządzie pocztowym z polecenia ministra wojny; mógł on obejmować 200 par gołębi. Drugą stacją gołębią urządzono na Mont-Valérien. Wkrótce potem zbudowano ośm gołębników, a mianowicie: w Paryżu, Vincennes, Marsylii, Perpignan, Verdun, Lille, Toul i w Belforcie.

Kredyt 100,000 franków jest corocznie wyznaczany w budżecie na gołębie i telegrafy optyczne. Wreszcie rząd dla zachęty osób prywatnych, zaczął udzielać wynagrodzenia za chów gołębi wędrownych. Pary gołębie oddają się bezpłatnie wojskowemu i osobom zasługującym na zaufanie.

W roku ubiegłym na wielkie manewra dziewiętego korpusu armii hodowcy dostarczyli jej mnóstwo gołębi do przesyłania depeż i otrzymali nagrody za chów wzorowy. W ostatnich czasach dyrektor fortyfikacji wysłał do wielkich miast officera z misją, zawiązania stosunków towarzystw gołębniczych z hodowcami. Officer wywiązał się dobrze z tego zadania; armia w razie potrzeby może liczyć na całe legie doskonale wytressowanych gołębi.

Wreszcie generał Boulanger odbywał doświadczenia dotyczące użycia gołębi wędrownych w charakterze kuryerów, pomiędzy kwaterą główną w Tunis a rozmaitemi punktami regencyi zajętemi militarnie.

Rezultat doświadczeń wypadł pomyślnie. Jednem słowem: rząd przedsięwziął wszystkie środki, aby w razie nowej wojny, służba gołębia nie była improwizowaną jak w 1870 roku. Wymiana depeż tą drogą pomiędzy władzą rządzącą a komendantami placów, dowódcami wojsk obozujących i sztabem armii, już jest zaprowadzoną.

W. Niewiadomski.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty i 7-my powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairet.

TREŚĆ. Pogawędka. — Modlitwa matki, poezya. przez Kruczyna. — Boży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Romanizm polski, w pojęciu Brandes'a przez S. Krzemińskiego. — Listy z zagranicy, I. J. Kraszewskiego. — Notatki pedagogiczne. — Nowiny paryzkie. — Najnowsze wynalazki i odkrycia naukowe, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty i 7-my powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairet. — Przegląd mód. — 10 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 23 Апрель 1886 года.